

200 lat temu w Wolsztynie ...

19 września 1810 dzień wielkiego pożaru ...

Była godzina piąta po południu. Dzień upalny, a od tygodni nie spadła ani jedna kropla deszczu. Od wschodniej części ulicy Żydowskiej (obecnie ul. Poznańska), która łączy się z Rynkiem, ponad suchymi niczym wiór drewnianymi domami krytymi gontem, wiatr, który zmienił właśnie kierunek na południowo - wschodni, przepędzał po niebie obłok dymu niosącego złowieszcze zagrożenie dla całego miasta.

Znaczna część mieszkańców miasta była w owym czasie poza domem, większość na wykopkach, na polach i w ogrodach. Ci, którzy zostali w mieście pospieszyli gasić pożar, jednak w kilka minut płomienie sięgnęły już domu wdowy po rzeźniku Ulrich'u, gdzie na poddaszu znajdowały się spore zapasy słoniny. Widok był to straszny. Ciemny dym z palących się połaci słoniny unosił się do góry i rozprzestrzeniał nad całym miastem. Płomienie zaatakowały także leżącą po zachodniej stronie Rynku, przy jeziorze ulicę Kaczą (zwaną później ul. Królewską, a obecnie ul. 5 Stycznia) i szybko przeskoczył na budynek ratusza. Mistrz piekarski Schulz cudem uratował nową pompę pożarniczą, która znajdowała się w szopie przy ratuszu. Niestety prawie cały ratusz spłonął w pożarze. Ogień szalał, mieszkańcy spieszyli na pomoc. Z boską pomocą może udałoby im się uratować świątynię i zatrzymać ogień w miejscu, gdzie ulica Kacza dochodziła do kościoła ewangelickiego, gdyby nie ówczesny komendant miasta von Schilitz. Przez swe nierozsądne zachowanie przeszkodził on w roz-

bieraniu dachów stojących tam domów, co miało zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się pożaru.

Płomienie szalały tak jak zawiał im wiatr. Mknęły już w stronę kościoła ewangelickiego, a na ulicy Żydowskiej ogień skakał nawet pod wiatr z domu na dom. Było około godziny siódmej wieczorem, kiedy płomienie dosięgły kościół ewangelicki z oficyn sąsiadujących z nim kamienic. Na raz płomienie wpadły do kościoła i wieży i objęły je z zewnątrz, jak dwa silne ramiona. W mgnieniu oka kościół i wieża jawić się zaczęły niczym płonący szkielet. Ostatni raz, jakby na pożegnanie, przejmująco zabrzmiały dzwony, po czym wieża przechyliła się w stronę jeziora i razem z kościołem zawałiła się z wielkim hukiem. W powietrzu dało się czuć przejmujący krzyk rozpacz. Potem nastąpiła głęboka cisza i znów ów krzyk przepojony bólem zawał nad miastem, kiedy to służący już 168 lat Bożej czci kościół runął w zgliszcach.

Prawie w tym samym czasie rozegrał się inny dramat. Przepiękna wieża kościoła katolickiego zapaliła się nie od płomieni, lecz od żaru. Najpierw ukazał się zebrany wąski, horyzontalny żarzący się pas, wokół metalowej kopuły. Wkrótce żar ten zaczął rozprzestrzeniać się w dół i w górę ponad całą kopułę. Na zaciemnionym dymem niebie jawiło się to jak niezwykle zjawisko. Rozżarzona kopuła zapaliła także drewnianą „szpicę”. Musiała być ona pokryta metalem lub pokostem, gdyż ogień długo nie mógł jej dosięgnąć. Płomienie skakały niczym bawiący się kociak raz

na dół, to znów do góry, aż w końcu zajęły całą szpicę. Płonąca wieża wprawiała ponownie wszystkich w wielką rozpacz. W tymże czasie właścicielowi majątku z Gościeszyna, panu Koczorowskiemu, udało się ujarzmić ogień w murowanej części wieży i tym samym uratować kościół. Na pomoc z sikawką przybyła także grupa ubogich mieszczan oraz niektórzy bardziej zamożni mieszkańcy. Palił się już szczyt domu kowala Dohnke, który stał blisko domu kantora (muzyk kierujący śpiewem). Na szczęście dzięki wydajnej sikawce udało się uratować dom Dohnków i plebanię. Po drugiej stronie, po stronie kościoła ogień szalał jednak nadal. Oberża „Pod zielonym drzewem” stała już cała w ogniu.

Dzięki miłosierdziu Bożej opatrności udało się wreszcie zatrzymać pożar. Najpierw na ulicy Żydowskiej, gdzie od samego początku ogień gasiło najwięcej ludzi i gdzie wiatr wiał dogodniej. Z 225 budynków w mieście ocalało tylko 61. W zaledwie kilka godzin zniszczeniu uległy 164 budynki, jak kościół ewangelicki, dom rektora i dzwonnika, wieża kościoła katolickiego, ratusz, synagoga czy miejski browar.

Po byłej świątyni ewangelickiej nie zostało prawie żadnego śladu, a na jej zgliszcach w niedzielę po pożarze 23 września 1810 odprawiono już pierwszą Mszę Św.

Na podstawie zapisków naocznego świadka z kroniki kościoła ewangelickiego w Wolsztynie opracował Wojtek Lis.